

SCENARIUSZ I KARTY PRACY

Temat: Czy ethos na stos? Różne odmiany i literackie wcielenia rycerskich postaw.

Cele: przedmaturalna synteza materiału, rekonstrukcja ethosu rycerskiego na podstawie interpretacji fragmentów tekstów literackich, dyskusja przy okrągłym stole na temat aktualności rycerskiego kanonu i zasadności propagowania we współczesnym świecie wynikających z niego postaw, kształcenie umiejętności pracy z tekstem, argumentowania, wnioskowania i wartościowania, przygotowanie merytoryczne (kontekstowe) do omówienia moralnych priorytetów Pana Cogito w wierszu Herberta „Przesłanie Pana Cogito”

Metody: praca w grupach, dyskusja punktowana

Przebieg zajęć:

1. Definicja pojęcia ethos i obudowanie go stosownymi dla rycerskiej odmiany przykładami różnych tekstów kulturowych.
2. Praca w grupach zgodnie z załączoną instrukcją, zakończona debatą (na temat: *Ethos na stos?*), w której wykorzystane zostaną wnioski i ustalenia zespołów.
3. Ewaluacja (zgodnie z zasadami dyskusji punktowanej).

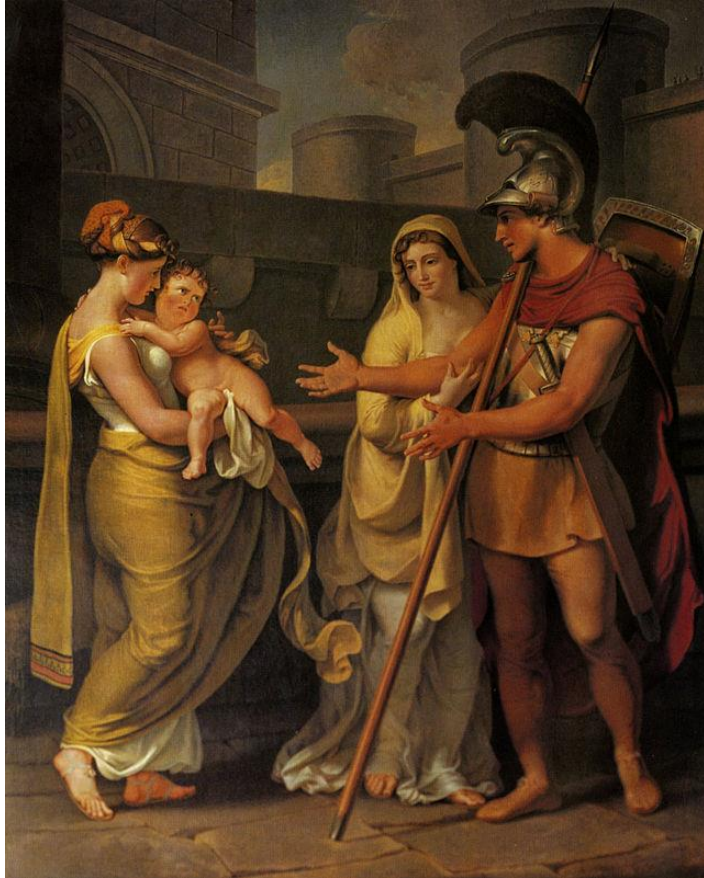
INSTRUKCJA DLA GRUP:

- + kim jest bohater załączonego fragmentu? co przeżywa? jakich doświadcza emocji?
 - + jakie atrybuty mu towarzyszą? w jaki sposób określają jego kondycję?
 - + w jakiej sytuacji został przedstawiony? określcie okoliczności, w jakich ujawnił się rycerski ethos
 - + jak kształtuje się hierarchia celów i wartości bohatera? o co walczy? jakie są jego życiowe dążenia i priorytety?
 - + oceńcie postawę bohatera – czy jego wybory i decyzje były dobre, właściwe, czy miały sens? czy taka droga życiowa bohatera prowadzi go do szczęścia?
 - + wypełnijcie kartę pracy, zapisując hasłowo swoje ustalenia i kluczowe dla interpretowanego fragmentu treści
4. **Zadanie domowe:**
Wybierz jeden z wykorzystanych na lekcji przykładów ikonograficznych (obraz, kadr filmowy, rycinę, ilustrację) i opisz go, zwracając uwagę na te elementy, które budują wymowę i przesłanie tego tekstu kultury. Twoja wypowiedź powinna zamknąć się w 150 słowach.

GRUPA I – DLACZEGO KLASYCY? (HOMER „ILIADA”)

Patrząc rycerz na syna, uśmiechnął się skrycie,
Andromacha zaś przed nim łyzy lejąc obficie
Bierze za ręce męża i tak mówić pocznie:
»Mężu! Męstwo cię twoje zgubi nieodwłocznie!
Nie masz żadnej litości nad dziecięcą głową
Ni nade mną nieszczęsną, wkrótce twoją wdową.
Na jednego Achaje wszystkie złączą siły
I odbiorą ci życie. Ach! Mój mężu miły,
Jeżeli mam cię stracić, obym legła w grobie!
Nie masz dla mnie pociechy żadnej już po tobie,
Smutki mię gnębić będą aż do dni ostatka.
Zginął ojciec, kochana mi zginęła matka:
Ojca zabił Achilles, gdy Teby w perzynę
Obrócił, silną możnych Kilików dziedzinę...
Siedmiu braci, rodzeństwa zaszczyt i kochanie,
Wszystkich w jednym dniu posłał w podziemne otchłanie,
Kiedy paśli na górach liczne ojca woły. (...)
Tyś mi ojcem, tyś matką, kochany Hektorze,
Tyś mi bratem, ty mężem w dni kwitnących porze!
Zostań tu, zbyt rycerską nie uwodź się cnotą,
Nie zostawiaj mię wdową, a syna sierotą!...«
Na to Hektor, największy wódz na krwawe boje:
»Kochana Andromacho, czuję żale twoje,
Lecz by Trojów i Trojek głosy mię przebodły,
Gdybym się z dala boju chronił jak mąż podły.
Nie, nie może się serce moje upośledzać,
Chcę najzwawsze Trojany do boju uprzedać,
Moją i ojca chwałę utrzymać przykładnie.
Wiem ja, że przyjdzie ów dzień, kiedy Troja padnie
Kiedy wielki wielkiego ludu król poleże,
A z nim zginą trojańscy straszni dzidą męże.
Ale nie tak się lękam trojańskiej zaguby,
Nie tak ojca Pryjama i matki Hekuby,
Ani kochanych braci, choć nieprzyjaciele
Rycerskich dusz na placu położą tak wiele,
Jako nad stanem twoim serce mi się krwawi,
Gdy cię weźmie wódz grecki, wolności pozbawi.
Pod groźną panią nędzne będziesz życie wiodła,
Z Messei nosić wodę lub z Hiperii źródła:
Tak twardy zgotowany los dla królów córy.
Wtenczas, widząc płaczącą, rzecze z Greków który:
„Oto żona Hektora, co niegdy pod Troją
Pierwsze męże przechodził walecznością swoją!”
Czym obudzi ból w sercu i męża żądanie,
Który by cię w tak smutnym poratował stanie.
Lecz wprzód niech padnę trupem, niż ujrzę twe płacze,
Niż twe jęki usłyszę lub więzy obaczę!«
Rzekł i wyciąga ręce do swojego syna.

Krzycząc, na mamki łonie tuli się dziecina,
Ojca się kochanego przeląkłszy widoku;
Tak miedź błyszcząca straszna niemowlęcia oku
I pióra, co się wznoszą na wierzchu przyłbice.
Uśmiechnęli się z próżnej bojaźni rodzice.
Zaraz Hektor zdjął szyszak, który syna trwożył,
I błyszczące pokrycie na ziemi położył,
A dawszy słodkie dziecku swemu całowanie
I kołysząc go z lekka, bogów prosi za nie:
»Zeusie i bogowie! Niech przy waszym względzie
Syn mój między Trojany jak ja sławny będzie,
Niechaj z odwagą berło dziadowskie dziedziczy!
Gdy wróci z boju, pełen zwycięskiej zdobyczy,
Niechaj wtenczas kto powie: on ojca przechodzi!
Niech się tym słowem matce uradować godzi.«
To rzekł i syna oddał swojej młodej żonie;
Ta z płaczkliwym uśmiechem ciśnie go na łonie.
Widok taki wskrós serce Hektora przeszywa,
Zatem głaszcze ją ręką i tak się odzywa:
»Niech cię, najmiłsza żono, los mój tak nie boli,
Nikt mi życia nie weźmie bez wyroku woli;
Od wyroku zaś żaden człek się nie wybiega,
Równie mu i bohater, i gnuśnik podlega.
Wróć do domu, weź w ręce kądziel i wrzecziono,
Pilnuj robót służebnic, ukochana żono!
O wojnie męża niechaj Ilijonu pomną,
A najszczególniej Hektor«. Rzekł i wraz ogromną
Przyłbicę bierze z ziemi i kładzie na głowie.



Johann Heinrich Wilhelm Tischbein

GRUPA II - JAKIE ŻYCIE, TAKA ŚMIERĆ („PIEŚŃ O ROLANDZIE”)

Roland patrzy na góry, na pola. Tylu Francuzów widzi leżących bez życia, zapłakał nad nimi luty rycerz: „Panowie baronowie, niech Bóg wam uczyni zmiłowanie! Niech wpuści dusze was wszystkich do raju! Niech je położy między swoje święte kwiaty! Nigdy nie widziałem lepszych od was wasalów. Tak długoście bez wytchnienia pełnili przy mnie służbę, zdobyliście dla Karola tak wielkie kraje. Cesarz was żywił na swoje nieszczęście. Ziemia francuska, jesteś lubym krajem; w tym dniu najgorsza klęska okryła cię żałobą! Barony francuskie, widzę oto, jak giniecie dla mnie i nie mogę was obronić ani ocalić; niech Bóg was wspiera, on co nigdy nie skłamał. Oliwierze, bracie, nie mogę cię opuścić. Umrę z bolesti, jeśli mnie co insze nie zabije. Towarzyszu, weźmy się do bicia dalej!” (...)

Hrabia Roland wrócił do bitwy. Ma w dłoni Durendala: bije jak tęgi rycerz. Pociął na sztuki Faldryna z Puj i dwudziestu czterech innych, nie lada jakich. Nigdy człowiek żaden tak gorąco nie pragnął się pomścić. Jak jeleń umyka przed psami, tak umykają przed Rolandem poganie. (...)

Roland patrzy Oliwierowi w twarz: widzi go zmienionym, zgaszonym, bladym, bez krwi. Krew jego jasna spływa mu po ciele; sople padają na ziemię. „Boże! powiada hrabia, nie wiem już, co robić. Cny towarzyszu, jakże mi żal twego męstwa! Nigdy nie znajdę równego tobie. Ach, słodka Francjo, zostaniesz ty dziś sierotą po dobrych wasalach, upokorzona i uboga! Cesarz poniósł wielką szkodę”. To rzekłszy, mdleje na koniu. (...)

Roland czuje, że śmierć jest blisko. Uszami mózg mu się wylewa. Modli się do Boga za swoich parów, aby ich przyjął do nieba; następnie prosi anioła Gabriela za samego siebie. Bierze róg, iżby mu nikt nie robił wyrzutu, i drugą ręką swój miecz zwany Durendalem. Nicco dalej niż na strzelenie z kuszy idzie ku Hiszpanii przez pole. Wstępuje na wzgórek. Tam, pod pięknym drzewem, są cztery stopnie zrobione z marmuru. Na zielonej trawie upada na wznak. Omdlewa, śmierć jego się zbliża. (...)

Ha, Durendalu, dobry Durendalu, bieda z tobą! Skoro umieram, nie będę miał już pieczy o ciebie. Przez ciebie wygrałem w szczerym polu tyle bitew, przez ciebie ujarzmiłem tyle szerokich ziem, które dzierży Karol siwobrody. Nie idź mi nigdy w ręce człowieka zdolnego uciec przed drugim! Dobry wasal długo cię dzierżył: nie będzie nigdy podobnego tobie w świętej Francji”. (...)

Roland uderza w krzemienią skałę. Miecz zgrzyta, nie pryska, nie szczerbi się. Kiedy widzi, że nie może go złamać, zaczyna w duszy lamentować nad nim: „Ha, Durendalu, jakiś ty piękny, jaki jasny i biały! Jak słońce łnisz i płoniesz. Karol był w dolinach mareńskich, kiedy z nieba Bóg oznajmił mu przez anioła, aby cię dał jednemu ze swoich hrabiów i rotmistrzów: wówczas opasał mnie tobą, miły król nasz Wielki. (...)

Roland uderzył mieczem o krzemień! Walił nim więcej niżbym zdołał powiedzieć. Miecz zgrzyta, nie pryska, ani się nie łamie. Odskakuje ku niebu. Kiedy hrabia widzi, że go nie złamie, żałuje go w duszy bardzo łagodnie. „Ha! Durendal, jakiś ty piękny i święty! Twoja złota gałka pełna jest relikwii: ząb świętego Piotra, krew świętego Bazylego i włosy wilebnego świętego Denisa, strzęp szaty Najświętszej Panny. Nie godzi się, by poganie cię posiadli, chrześcijanie powinni pełnić twoją służbę. Obyś nigdy nie dostał się w ręce tchórze! Tobą zdobyłem tyle szerokich ziem, które dzierży Karol, cesarz siwobrody: przez ciebie jest potężny Roland czuje, że śmierć go bierze całego: z głowy zstępuje do serca. Biegne rycerz

pędem na szczyt góry, położył się na zielonej murawie, twarzą do ziemi. Pod siebie kładzie swój miecz i róg. Obrócił głowę ku zgrai pogan; tak czyni, chcąc, aby Karol powiedział i wszyscy jego ludzie, że umarł jako zwycięzca i jako zacny hrabia. Raz po raz słabnącą ręką uderza się w piersi. Za grzechy swoje wyciąga ku niebu swoją rękawicę.

Roland czuje, że dobiegł już kresu. Leży na stromym pagórku twarzą ku Hiszpanii. Jedną ręką bije się w pierś: „Boże, przez twoją łaskę, *mea culpa* za moje grzechy, wielkie i małe, jakie popełniłem od godziny urodzenia aż do dnia, w którym oto poległem!”. Wyciągnął do Boga prawą rękawicę. Aniołowie z nieba zstępują ku niemu.

Hrabia Roland leży pod sosną. Ku Hiszpanii obrócił twarz. Wiele rzeczy przychodzi mu na pamięć: tyle ziem, które zdobył dzielny rycerz, i słodka Francja, i krewniacy, i Karol Wielki, jego pan, który go wychował. Płacze i wzdycha, nie może się wstrzymać. Ale nie chce przepomnieć siebie samego; bije się w piersi i prosi Boga o przebaczenie: „Prawdziwy Ojczy, któryś nigdy nie skłamał, ty, któryś przywołał świętego Łazarza spośród umarłych, ty, któryś ocalił Daniela spomiędzy lwów, ocal moją duszę od wszystkich niebezpieczeństw za grzechy, którym popełnił w życiu!”. Ofiarował Bogu swą prawą rękawicę, święty Gabriel wziął ją z jego dłoni. Opuścił głowę na ramię; doszedł ze złożonymi rękami swego końca. Bóg zsyła mu swego anioła Cherubina i świętego Michała Opiekuna; z nimi przyszedł i święty Gabriel.

Niosą duszę hrabiego do raju.

Roland umarł; Bóg ma jego duszę w niebie.



ilustracja z manuskryptu ok. 1455-1460

GRUPA III - NA POLU BITWY WEWNĘTRZNEJ (H. SIENKIEWICZ „KRZYŻACY”)

Wyprowadzono wówczas z podziemia Zygryda ze skrępowanymi w krzyż na piersiach rękoma i wszyscy razem z Tolimą udali się do starca. W pierwszej chwili Czech nie mógł mu się dobrze przyjrzeć, gdyż błoniaste okna mało przepuszczały światła, a dzień był ciemny z powodu chmur, które zawały całkiem niebo i zapowiadały groźną nawałnicę. Ale gdy bystre jego oczy przywykły do mroku, zaledwie go poznał, tak jeszcze wychudł i wynędzniał. Olbrzymi mąż zmienił się w olbrzymiego kościeja. Twarz miał tak białą, że nie różniła się wiele od mleczej barwy włosów i brody, a gdy przechyliwszy się na poręcz krzesła, przymknął powieki, wydał się Hlawie po prostu trupem. Przy krześle stał stół, a na nim krucyfiks, dzban z wodą i bochen czarnego chleba z utkwioną w nim mizerykordią, czyli groźnym nożem, którego rycerze używali do dobijania rannych. Innego pokarmu prócz chleba i wody od dawna już Jurand nie używał. Za odzież służyła mu gruba włosienica, przepasana powróstem, którą nosił na gołym ciele. Tak to od czasu powrotu ze szczecińskiej niewoli żył możny i straszny niegdyś rycerz ze Spychowa. Posłyszawszy wchodzących, odsunął nogą oswojoną wilczycę, która ogrzewała mu bosa stopy, i podał się w tył. Wtedy to właśnie wydał się Czechowi jak umarły. Nastąpiła chwila oczekiwania, spodziewano się bowiem, że uczyni jakiś znak, aby kto zaczął mówić, ale on siedział nieruchomy, biały, spokojny, z otwartymi nieco ustami, jakoby istotnie pogrążony w wiecznym uspieniu śmierci.

- Jest tu Hlawa - ozwała się wreszcie słodkim głosem Jagienka - chcecie-li go wysłuchać? Skinął głową na znak zgody, więc Czech rozpoczął po raz trzeci opowiadanie. Wspomniał pokrótce o bitwach stoczonych z Niemcami pod Gotteswerder, opowiedział walkę z Arnoldem von Baden i odbicie Danusi, ale nie chcąc przydawać staremu męczennikowi boleści do dobrej nowiny i budzić w nim nowego niepokoju, zataił, że umysł Danusi pomieszał się przez długie dni okrutnej niedoli. Natomiast mając serce zawzięte przeciw Krzyżakom i pragnąc, aby Zygryd jak najniemiłosierniej był pokaran, nie zataił umyślnie, że znaleźli ją przelęknioną, wynędzniałą, chorą, że znać było, że obchodzono się z nią po katowsku, i że gdyby była dłużej pozostała w tych strasznych rękach, byłaby uwiędła i zgasła tak właśnie, jako więdnę i ginie podeptane nogami kwiecie. Ponurej tej opowieści towarzyszył niemniej posępny pomruk zapowiadającej się burzy. Miedziane zwały chmur kłębiły się coraz potężniej nad Spychowem. Jurand słuchał opowiadania bez jednego drgnienia i ruchu, tak że obecnym zdawać się mogło, iż pogrążony jest we śnie. Słyszał jednak i rozumiał wszystko, bo gdy Hlawa zaczął mówić o niedoli Danusi, wówczas w pustych jamach oczu zebrały mu się dwie wielkie łzy i spłynęły mu po policzkach. Ze wszystkich ziemskich uczuć pozostało mu jeszcze jedno tylko: miłość do dziecka. Potem sinawe jego usta poczęły się poruszać modlitwą. Na dworze rozległy się pierwsze, dalekie jeszcze grzmoty i błyskawice jęły kiedy niekiedy rozświecać okna. On modlił się długo i znów łzy kapwały mu na białą brodę. Aż wreszcie przestał i zapadło długie milczenie, które przedłużając się nad miarę, stało się na koniec uciążliwe dla obecnych, bo nie wiedzieli, co mają z sobą robić. Na koniec stary Tolima, prawa Jurandowa przez całe życie ręka, towarzyszył we wszystkich bitwach i główny stróż Spychowa, rzekł: - Stoi przed wami, panie, ten piekielnik, ten wilkołak krzyżacki, który katował was i dziecko wasze; dajcie znak, co mam z nim uczynić i jako go pokarać?

Na te słowa przez oblicze Juranda przebiegły nagle promienie - i skinął, aby mu przywieziono tuż więźnia. Dwaj pachołkowie chwycili go w mgnieniu oka za barki i przywieśli przed starca, a ów wyciągnął rękę, przesunął naprzód dłoń po twarzy Zygryda, jakby chciał sobie przypomnieć lub wrazić w pamięć po raz ostatni jego rysy, następnie opuścił ją na piersi Krzyżaka, zmacał skrzyżowane na nich ramiona, dotknął powrozów - i przymknawszy znów oczy, przechylił głowę. Obecni mniemali, że się namyślał. Ale

cokolwiek bądź czynił, nie trwało to długo, gdyż po chwili ocknął się - i skierował dłoń w stronę bochenka chleba, w którym utkwiona była złowroga mizerykordia. Wówczas Jagienka, Czech, nawet stary Tolima i wszyscy pachółkowie zatrzymali dech w piersiach. Kara była stokroć zasłużona, pomsta słuszna, jednakże na myśl, że ów na wpół żywy starzec będzie rzezał omackiem skrępowanego jeńca, wzdrygnęły się w nich serca. Ale on, ująwszy w połowie nóż, wyciągnął wskazujący palec do końca ostrza, tak aby mógł wiedzieć, czego dotyka, i począł przecinać sznury na ramionach Krzyżaka. Zdumienie ogarnęło wszystkich, zrozumieli bowiem jego chęć - i oczom nie chcieli wierzyć. Tego jednak było im zanadto. Hlawa jął pierwszy szemrać, za nim Tolima, za tymi pachółkowie. Tylko ksiądz Kaleb począł pytać przerywanym przez niepohamowany płacz głosem:

- Bracie Jurandzie, czego chcecie? Czy chcecie darować jeńca wolnością?

- Tak! - odpowiedział skinieniem głowy Jurand.

- Chcecie, by odszedł bez pomsty i kary?

- Tak!

Pomruk gniewu i oburzenia zwiększył się jeszcze, ale ksiądz Kaleb, nie chcąc, by zmarniał tak niesłychany uczynek miłosierdzia, zwrócił się ku szemrzącym i zawołał:

- Kto się świętemu śmie sprzeciwić? Na kolana! I klękawszy sam, począł mówić:

- Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

I odmówił "Ojcie nasz" do końca. Przy słowach: "i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom", oczy jego zwróciły się mimo woli na Juranda, którego oblicze zajaśniało istotnie jakimś nadziemskim światłem. A widok ów w połączeniu ze słowami modlitwy skruszył serca wszystkich obecnych, gdyż stary Tolima o zatwardziałej w ustawicznych bitwach duszy, przeżegnawszy się krzyżem świętym, objął następnie Jurandowe kolano i rzekł:

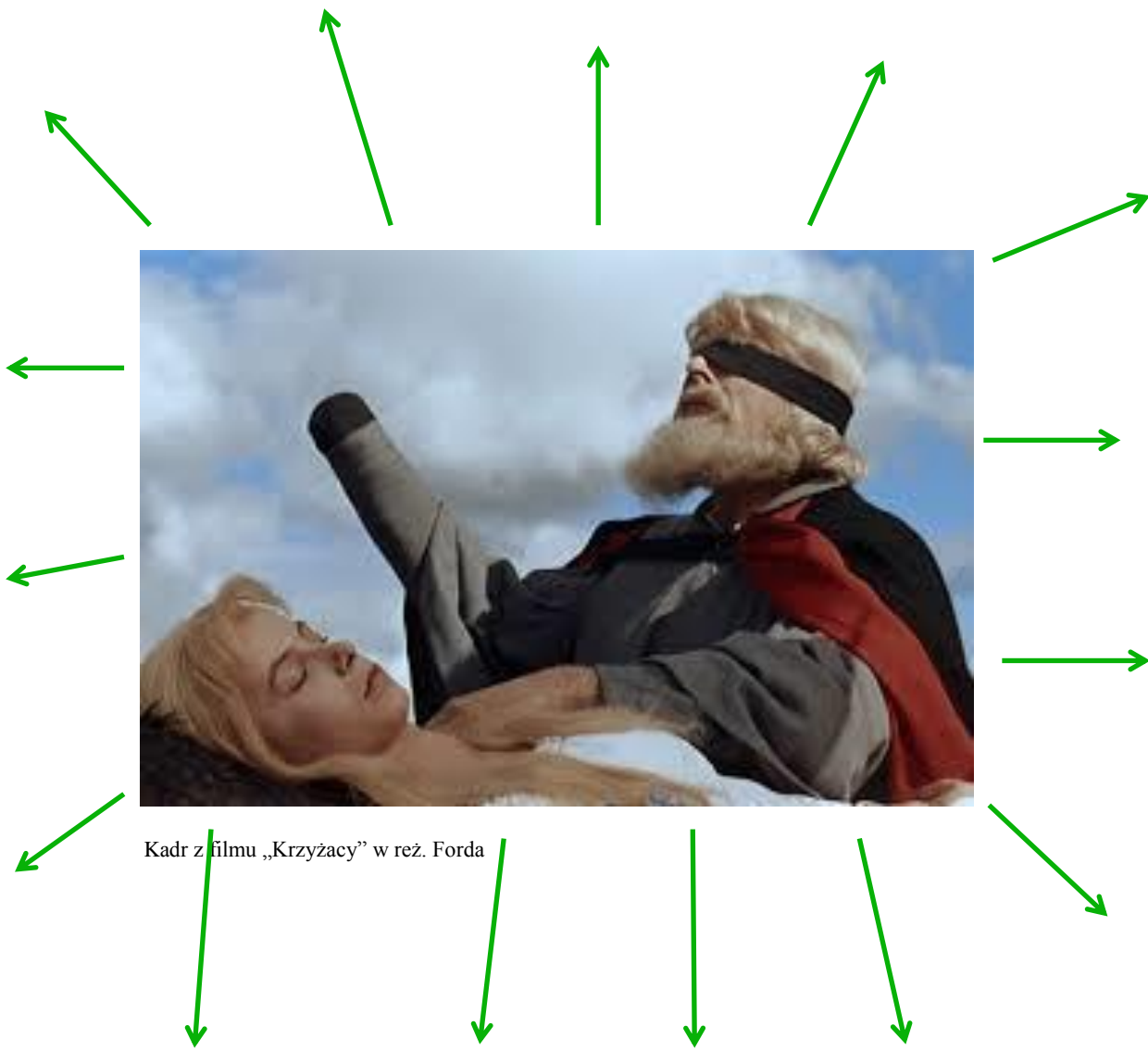
- Panie, jeśli wasza wola ma się spełnić, to trzeba jeńca do granicy odprowadzić.

- Tak! - skinął Jurand.

Coraz częstsze błyskawice rozświecały okna; burza była bliżej i bliżej.



Kadr z filmu „Krzyżacy” w rež. Forda



GRUPA IV - BŁEDNY RYCERZ NIE ZAWSZE W BŁEDZIE (M. CERVANTES „DON KICHOTE”)

O powodzeniu, jakiego doznał rycerz Don Kichot w straszliwej i niesłychanej przygodzie z wiatrakami i o tym, co się później stało.

Kiedy tak rozmawiają, Don Kichot spostrzegł z daleka ze trzydzieści lub czterdzieści wiatraków, i jak je tylko spostrzegł, zawołał: „Fortuna sprzyja nam bardziej, niżbyśmy sami pragnęli. Przyjacielu Sancho, czy widzisz tę gromadę niezmiernych olbrzymów? Ja na nich uderzę i wszystkich zgładzę z tego świata — taki mój zamiar. Piękny będzie początek, z ich łupu wzbogacimy się, co się nazywa. Taka wojna uczciwa, bo na chwałę boską; ród ten olbrzymi trzeba z ziemi wypłenić, tak Bóg każe”.

— Co za olbrzymy? gdzie? — pyta Sancho Pansa.

— A tam, czyż ich nie widzisz? — rzecze Don Kichot — z takimi okropnymi rękoma, że u niektórych i na pół mili sięgają.

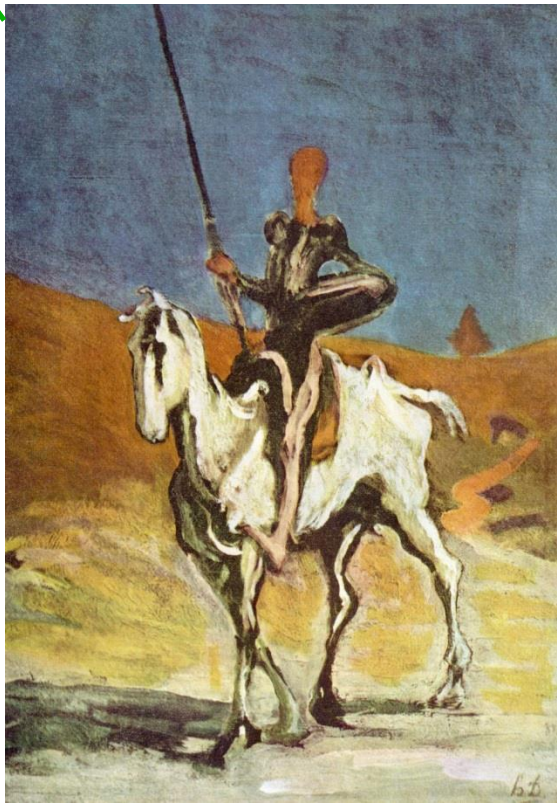
— Ależ przyjrzyjcie się dobrze, wielmożny panie — odpowie Sancho — toć to nie olbrzymy, to są wiatraki, a te ręce, to śmigi, którymi wiatr obraca.

— Ha, jak to widać zaraz — rzecze Don Kichot — że nie masz doświadczenia w rycerskiej sztuce. To olbrzymy, mówię ci, a jeżeli cię strach bierze, to ruszaj sobie gdzie w kącie pacierz mówić. Ja rzucę się na nich sam, chociaż ich tylu. — I mówiąc to, spał ostrogami Rosynanta. Sancho kłął się na duszę i ciało, że to wiatraki, a nie olbrzymy, ale dla naszego rycerza były to takie olbrzymy, że nie tylko nie słyszał krzyków swojego giermka, ale im bardziej się do nich zbliżał, tym więcej wierzył swemu urojaniu. „Nie uciekajcie, tchórze! — wrzeszczał na całe gardło — nie uciekajcie, podły i nikczemny rodzie, jeden tylko rycerz na was idzie”. Że właśnie wiatr się zerwał, wiatraki zaczęły się obracać, a Don Kichot jeszcze głośniejsze wrzeszczał: „Próżne to rzeczy, próżne, żebyście tam tylu rękami machali, co sam Bryjareusz, to nic nie pomoże, zaraz ja się tu z wami sprawię”. I nie tracąc czasu, poleca się natychmiast z całej duszy pani serca swego, pięknej Dulcyniei, błagając ją o pomoc w tak wielkim niebezpieczeństwie. Zasłania się tarczą, wyszczerza dziwę i co tylko sił w Rosynancie, pędzi na wiatrak najbliższy, wpada na śmigę, która mu dziwę łamie w kawałki, a samego razem z koniem wyrzuca daleko na pole, w nader biednym stanie. Sancho przybiega klusem na ośle i widzi, że pan jego ani się ruszyć nie może. O, bo ciężki był to upadek!

— A co do milionset — woła Sancho — czym nie mówił, że to wiatraki! dosyć było mieć oczy! chyba, że w głowie świeciło co innego.

— Cicho bądź, Sancho — rzecze Don Kichot — w wojennym rzemiośle los rządzi wszystkim, nic nie ma stałego. Wiesz, co ja myślę! to niezawodna prawda, to ten czarnoksiężnik Fresto; co mi porwał książki wszystkie razem z biblioteką, poprzemieniał teraz tych olbrzymów w wiatraki, żeby mi odjąć chwałę zwycięstwa, taki na mnie zawzięty i wściekły. Ale obaczmy, obaczmy, sztuka jego przed mieczem moim musi ustąpić.

— Daj to Boże! wielmożny panie — rzecze Sancho, a podniósłszy go, wsadził jak mógł na Rosynanta, który miał jedną nogę zwichniętą. Gawędząc dalej o tej przygodzie, skierowali drogę ku wąwozowi Lapise, gdzie Don Kichot powiadał, że musi ich spotkać jaka przygoda, bo tam pełno ludzi przejeżdża. Strasznie mu żal było spisy, którą stracił, i wynurzając się z tym do giermka, mówił mu: — Czytałem kiedyś, pamiętam, że rycerz pewien hiszpański, imieniem Diego Peres de Vargas złamał dziwę w boju, wyrwał grubą gałąź dębową i tylu nią Maurów pozabijał, że mu na zawsze przydomek Tłuczyłba nadano, a potomkowie jego odtąd nazywali się Vargas-Maczuga. Mówię ci to, Sancho, bo zamiarem moim jest z pierwszego dębu, co napotkam, ułamać sobie gałąź taką jak tamta i takich nią cudów waleczności dokazywać, że za szczęśliwego poczytywać się będziesz, iżeś je własnymi oglądał oczami i był świadkiem czynów tak wielkich, że nikt im wierzyć nie zechce.



H. Daumier

GRUPA V - (H. SIENKIEWICZ „OGNIEM I MIECZEM”)

Noc była ciepła, chmurna i tak ciemna, że o dziesięć kroków nie dojrzałeś nie tylko człowieka, ale nawet i drzewa. Była to okoliczność dla pana Longina pomyślna, lubo z drugiej strony i sam musiał iść bardzo wolno, ostrożnie, aby nie wpaść w któren z dołów lub rowów pokrywających na całej przestrzeni pobojowisko skopane polskimi i kozackimi rękoma. W ten sposób dotarł do drugich wałów polskich, które właśnie przed wieczorem opuszczono - i przepawiwszy się przez fosę, puścił się chyłkiem ku szancom kozackim. Stanął i słuchał: szançe były puste. Pan Longinus rozpoczął modlitwę za dusze zmarłe i szedł dalej. Szmer polskiego obozu, który go gonił aż do drugich wałów, cichł coraz bardziej, topniał w oddaleniu, aż na koniec umilkł zupełnie. Pan Longinus stanął i obejrzał się po raz ostatni. Nic już prawie nie mógł dojrzeć, bo w obozie nie było światła; jedno tylko okienko w zamku migotało słabo, jako gwiazdka, którą chmury to odkrywają, to przesłonią, lub jak robaczek świętojański, co świeci i gaśnie na przemian.

"Bracia moi, zali was zobaczę jeszcze w życiu?" - pomyślał pan Longinus.

I tęsknota przygniotła go jakby olbrzymi kamień. Zaledwie mógł oddychać. Dusza poczęła się w nim wahać. Nadleciał doń w ciemności błady niepokój i począł szeptać mu do ucha:

"Nie przejdiesz, to niepodobieństwo! - wróć się, jeszcze czas! Wypal z pistoletu, a cała chorągiew runie na twój ratunek. - Przez te tabory, przez tę dzicz nie przejdzie nikt".

Przyjaciele nie mieliby mu za złe, gdyby wrócił. Powie im, że rzecz przechodzi ludzkie siły - a oni sami już nie pójda ani nikogo nie wyślą - i będą czekać dalej bożego i królewskiego zmiłowania. A jeśli Skrzetuski wyjdzie i zginie? "W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!... To są pokusy szatańskie - pomyślał pan Longinus. - Na śmierć gotowym, a nic gorszego mnie nie spotka. To szatan straszy słabą duszę pustkowiem, trupami, ciemnością, bo on ze wszystkiego korzysta."

Miałżeby rycerz sromotą się okryć, sławę postradać, imię zhańbić - wojska nie zbawić, korony niebieskiej się zrzec? Nigdy! I ruszył dalej, wyciągając przed siebie ręce. (...)

Deszcz, tak drobny jak mgła, począł mżyć. Zrobiło się jeszcze ciemniej. (...) Pan Longinus szedł dalej. Skierował się jeszcze bliżej ku taborowi, pragnąc przejść między szeregiem wozów. (...) Wówczas stanął i namyślał się, co począć. Był otoczony. (...) Położenie pana Longina było straszne. Miał teraz do wyboru albo przemknąć się między wozami, albo szukać innego wyjścia. Inaczej musiałby się błąkać aż do świtu - chybaby się chciał cofać znów do Zbaraża, ale nawet i w takim razie mógł wpaść w ręce straży. (...) Pan Longinus postanowił szukać przejścia i w tym celu zbliżył się jeszcze bardziej do wozów. Błaski płonących tu i owdzie ognisk mogły go zdradzić, ale z drugiej strony były mu pożyteczne, bo bez nich nie widziałby ani wozów, ani drogi między nimi. (...) Pan Longinus położył się na brzuchu i począł się czołgać do owej czarnej czeluści jak wąż do jamy. Upłynął kwadrans, pół godziny, on czołgał się ciągle, modląc się jednocześnie - w obronę z ciałem i duszą mocom niebieskim się oddając. Pomyślał, że może los całego Zbaraża zależy w tej chwili od tego, czy on się teraz przez ową gardziel przedostanie, więc modlił się nie tylko za siebie - ale i za tych, którzy w tej chwili na okopie modlili się za niego. Po obu stronach wszystko było spokojne. Człek się nie ruszył, koń żaden nie zachrapał, pies żaden nie zaszczekał - i pan Longinus przeszedł. Czerniały teraz przed nim chrusty i gąszcze, za którymi rosła dębina, za dębina bór, za borem król, zbawienie i sława, i zasługa przed Bogiem i ludźmi. Tymczasem począł padać większy deszcz i szeleścił po zaroślach. Pan Longinus rozpuścił teraz swoje długie nogi i szedł jak olbrzym, deptając krze - co stąpi krok, to jakby kto inny pięć. Wozy coraz dalej, dębina coraz bliżej - i zbawienie coraz bliżej.

Pot zlewa mu czoło, bo powietrze stało się jakieś parne; coś niby zbiera się na burzę, ale on

idzie, ani dba o burzę, bo mu w sercu anieli śpiewają. Dębina rzędzie. Pewnie to będzie pierwsza łąka. Dęby zaszumiały mocniej, jakby chciały rzec: "Zaczekaj, bezpiecznie ci było wśród nas" - ale rycerz nie ma czasu i wstępuje na odkrytą łąkę. Jeden tylko stoi na niej dąb w środku, ale potężniejszy od innych. Pan Longinus zmierza do tego dębu. Nagle, gdy już jest o kilkanaście kroków, spod rozłożystych gałęzi olbrzyma wysuwa się ze dwadzieścia czarnych postaci, które zbliżają się w wilczych skokach do rycerza.

- Kto ty? kto ty?

Język ich niezrozumiały, nakrycia głowy jakieś spiczaste - to Tatarzy, którzy się tu przed deszczem schronili. W tej chwili czerwona błyskawica rozświetliła łąkę, dąb, dzikie postacie Tatarów i olbrzymiego szlachcica. Krzyk straszliwy wstrząsnął powietrzem i walka zawrzała w jednej chwili. Tatarstwo rzuciło się na pana Longina jak wilcy na jelenia i chwyciło go zylastymi rękoma, lecz on wstrząsnął się tylko i wszyscy napastnicy opadli tak z niego, jak dojrzały owoc opada z drzewa. Cicha łąka zabrzmiała wszystkimi dzikimi głosami, jakie tylko mieszczą się w ludzkich gardzielach. Tatarzy rzucili się jeszcze raz i drugi kupą na rycerza, ale on już oparł się plecami o dąb, a od przodu nakrył się wichrem miecza - i ciął straszliwie. Nie upłynęło pół godziny i cała łąka zamrowiła się pieszymi i jezdnyimi. Biegli Kozacy i Tatarzy z kosami, z drągami, z łukami - ze szczapami palącego się luczywa.

Pan Longinus wypalił po dwakroć z pistoletów, ale wystrzałów tych nie mogli już dosłyszeć towarzysze w polskim okopie. Tymczasem tłum zbliżał się do niego półkolem, on zaś stał w cieniu - olbrzymi, oparty o drzewo - i czekał z mieczem w ręku.

Tłum zbliżał się coraz bardziej. Na koniec zagrzmiął głos komendy:

- Bierz go!

Co żyło, rzuciło się naprzód. Krzyki umilkły. Ci, którzy nie mogli się docisnąć, świecili atakującym. Wir ludzki kłębił się i przewracał pod drzewem - jęki tylko wydobywały się z tego wiru i przez długi czas nie można było nic rozpoznać. Nareszcie krzyk przestradchu wyrwał się z piersi atakujących. Tłum pierzchnął w jednej chwili. Naokół rozległy się dzikie wołania:

-Uk! uk!...

Wówczas na widok łuków i strzał wysypywanych z kołczanów pod nogi poznał i pan Podbipięta, że zbliża się godzina śmierci, i rozpoczął litanie do Najświętszej Panny.

Uczyniło się cicho. Tłumy zatrzymały dech, oczekując, co się stanie. Pierwsza strzała świstnęła, gdy pan Longinus mówił: "Matko Odkupiciela!" - i obtarła mu skroń.

Druga strzała świstnęła, gdy pan Longinus mówił: "Panno wślawiona!" - i utkwiała mu w ramieniu. Słowa litanii zmieszały się ze świstem strzał. I gdy pan Longinus powiedział:

"Gwiazdo zaranna!" - już strzały tkwiły mu w ramionach... Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim... na koniec ukląkł.

Potem, na wpół już z jękiem, powiedział pan Longinus: "Królowo Anielska!" - i to były jego ostatnie słowa na ziemi.



Juliusz Kossak *Śmierć Longinusa Podbięty.*

GRUPA VI - NIC TO! (H. SIENKIEWICZ „PAN WOŁODYJOWSKI”)

Tam on siadł i wsparł się o mur, a ona przytuliła się do niego jak dziecko do matki. Noc była sierpniowa, ciepła i słodka. Księżyc oświecał srebrnym światłem wgłębienie, tak że twarze małego rycerza i Basi były skąpane w blasku. Poniżej, na podwórzu zamkowym, widać było uśpione kupy żołnierzy, a także i ciała zabitych podczas dziennej strzelaniny, bo nie znaleziono dotąd czasu na ich pogrzebanie. Ciche światło miesiąca pełzało po tych kupach, jakby ów samotnik niebieski chciał wiedzieć, kto śpi tylko ze znużenia, a kto już usnął snem wiecznym. Dalej rysowała się ściana głównej budowy zamkowej, od której padał czarny cień na połowę podwórza. Z zewnątrz murów, gdzie między wyciółkami leżeli pocięci mieczami janczarowie, dochodziły głosy męskie. To ciurowie i ci z dragonów, którym łup milszy był od snu, obdzierali ciała poległych. Latarki ich migotały po poboju na kształt czerwii świętojańskich. Niektórzy nawoływali się z cicha, a jeden śpiewał półgłosem pieśń słodką i nie licującą z zajęciem, któremu się w tej chwili oddawał:

Nic mi po srebrze, nic mi po złocie,

Nic po chudobie —

Niech z głodu zamrę przy krzywym płocie,

Byle przy tobie!

Lecz po jakimś czasie ruch ów zaczął ustawać i nareszcie ustał zupełnie.

Uczyniła się cisza, którą przerywały tylko dalekie odgłosy kilofów łamiących wciąż skałę i nawoływania straży na murach. Ta cisza, światło i noc przepyszna upoiły małego rycerza i Basię. Stało im się nie wiadomo dlaczego tęskno i trochę smutno, chociaż błogo. Baśka pierwsza podniosła oczy na męża i widząc, że ma źrenice otwarte, spytała:

— Michałku, nie śpisz?

— Aż dziwno, ale nic się nie chce.

— A dobrze ci tu jest?

— Dobrze. A tobie?

Baśka zaczęła kręcić jasną główką.

— Oj, Michałku, tak dobrze, oj! Oj! Słyszałeś, co ów tam śpiewał?

Tu powtórzyła ostatnie słowa piosenki:

Niech z głodu zamrę przy krzywym płocie,

Byle przy tobie!

Nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał mały rycerz:

— Baśka! — rzekł — słuchaj no, Baśka!

— Co, Michałku?

— Bo prawdę rzekłszy, okrutnie nam dobrze ze sobą i tak myślę, że gdyby jedno z nas poległo, to by drugie bez miary tęskniło.

Basia doskonale zrozumiała, że mały rycerz mówiąc: „gdyby jedno z nas poległo” zamiast „umarło” — siebie miał na myśli. Przyszło jej do głowy, że on może nie spodziewa się wyjść żywym z tego oblężenia, że chce ją oswoić z tym terminem, więc straszne przecucie ścisnęło jej serce i złożywszy ręce rzekła:

— Michale, miej miłosierdzie nad sobą i nade mną!

Głos małego rycerza był nieco wzruszony, choć spokojny.

— A widzisz, Baśka, że nie masz słuszności — rzekł — bo tak wzięwszy tylko na rozum, cóż to jest to życie doczesne? Przez co tu kark kręcić? Komu tu będzie dostatkami smakować szczęśliwość i kochanie, kiedy wszystko kruche jako zeschnięta gałąź, co?

Lecz Basia zaczęła się trząść z płaczu i powtarzać:

— Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

— Jak mi Bóg miły, tak nie masz słuszności — powtórzył mały rycerz. — Ot, uważasz, tam w górze, za onym cichym miesiącem, jest kraina wiekuistej szczęśliwości. O takiej to mi

gadaj! Kto się na tamtą lewadę dostanie, ten dopiero sobie odsapnie, jakby po długiej drodze — i pasie się spokojnie. Jak na mnie termin przyjdzie (a to przecie żołnierska rzecz), zaraz sobie powinnaś powiedzieć: „Nic to!” Po prostu powinnaś sobie powiedzieć: „Michał odjechał, prawda, że daleko, dalej jak stąd na Litwę, ale nic to! Bo i ja za nim podążę”. Baśka, no, cicho, nie płacz! Które pierwsze odjedzie, to drugiemu kwaterę przygotowuje — i cała sprawa.

Tu przyszło na niego jakby widzenie rzeczy przyszłych, bo oczy podniósł ku miesięcznemu blaskowi i tak dalej mówił:

— Co to doczesność! Dajmy, że ja już tam będę, aż tu ktoś puka do niebieskich podwoi. Święty Piotr otwiera; patrzę ja: kto? Moja Baśka! Rety! O! To dopiero skoczę! O! To dopiero zakrzyknę! Miły Boże! Słów w gębie brak! I nie będzie płakania, jeno wieczne wesele, i nie będzie pogan ni armat, ni min pod murami, jeno spokój i szczęśliwość! Ej, Baśka, pamiętaj: nic to!

— Michale, Michale! — powtarzała Basia.

I znowu nastała cisza, przerywana tylko odległym monotonnym dźwięczeniem kilofów.

Wreszcie Wołodyjowski ozwał się:

— Baśka, zmówimy sobie teraz pacierz.

I te dwie dusze, czyste jak łyzy, poczęły się modlić. W miarę jak odmawiali pacierze, spływał na oboje spokój, a potem zmorzył ich sen i usnęli aż do pierwszego brzasku.

Pan Wołodyjowski odprowadził następnie Basię, jeszcze przed „kindią” poranną, aż do mostu łączącego stary zamek z miastem, na odchodnym zaś rzekł jej:

— Pamiętaj, Baśka: nic to!



Kadr z filmu J. Hoffmana „Pan Wołodyjowski”

**GRUPA VII „PO CO IMIĘ TAKIE DZIECINIE? PO CO (...) TAKI SKRZYDEŁ
POKRÓJ?” (K. K. BACZYŃSKI „RODZICOM”)**

A otóż i macie wszystko.
Byłem jak lipy szelest,
na imię mi było Krzysztof,
i jeszcze ciało - to tak niewiele.

I po kolana brodząc w blasku
ja miałem jak święty przenosić Pana
przez rzekę zwierząt, ludzi, piasku,
w ziemi brnąc po kolana.

Po co imię takie dziecinie?
Po co, matko, taki skrzydeł pokrój?
Taka walka, ojczy, po co - takiej winie?
Od łez ziemi krwawo mi, mokro.

Myślałaś, matko: "On uniesie,
on nazwie, co boli, wytłumaczy,
podźwignie, co upadło we mnie, kwiecie
- mówiłaś - rozkwitaj ogniem znaczeń".

Ojczy, na wojnie twardo.
Mówiłaś pragnąc, za ziemię cierpiąc:
"Nie poznasz człowieczej pogardy,
udźwigniesz sławę ciężką".

I po cóż wiara taka dziecinie,
po cóż dzieciństwo jak płomieni dom?
Zanim dwadzieścia lat minie,
umrze mu życie w złócieniach rąk.

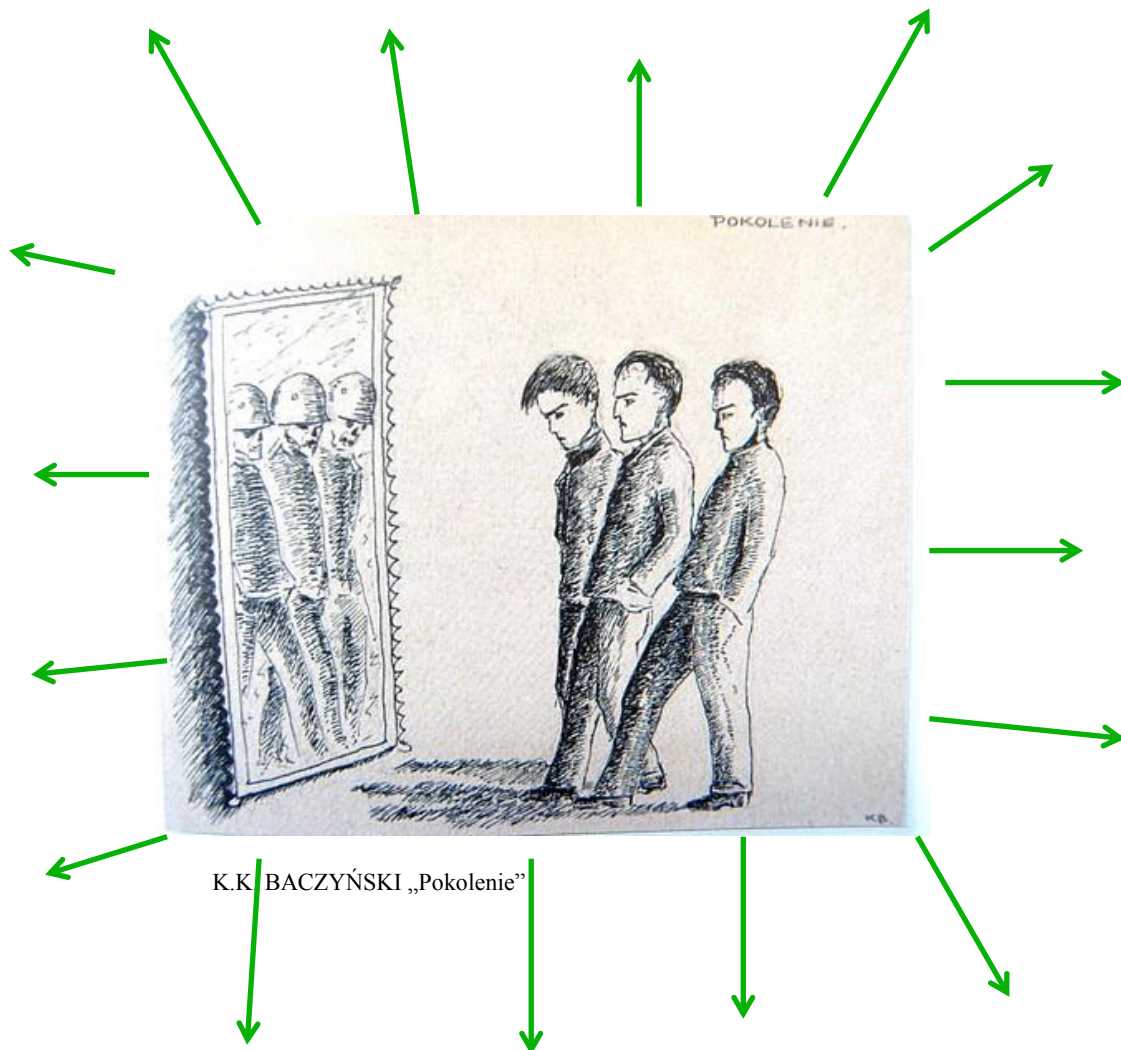
A po cóż myśl taka jak sosna,
za wysoko głowica, kiedy pień tną.
A droga jakże prosta,
gdy serce niezdarne - proch.

Nie umiem, matko, nazwać, nazbyt boli,
nazbyt mocno śmierć uderza zewsząd.
Miłość, matko - już nie wiem, czy jest.
Nozdrza rozdęte z daleka Boga wietrzą.

Miłość - cóż zrodzi - nienawiść, struny łez.

Ojcie, broń dźwigam pod kurtką,
po nocach ciemno - walczę, wiary więdną.
Ojcie - jak tobie - prócz wolności może i dzieło,
może i wszystko jedno.

Dzień czy noc - matko, ojcie - jeszcze ustoję
w trzaskawicach palb, ja, żołnierz, poeta, czasu kurz.
Pójdę dalej - to od was mam: śmierci się nie boję,
dalej niosąc naręcza pragnień jak spalonych róż.
(30 lipca 1943)



Temat: Jestem, więc muszę iść - w postawie wyprostowanej. Etyka bezroszczeniowa Pana Cogito.

Cele: analiza i interpretacja wiersza, rekonstrukcja kanonu wartości z jednoczesnym odniesieniem go do źródłowego ethosu rycerskiego, wprowadzenie/przypomnienie pojęć imponderabilia, imperatyw moralny, etyka bezroszczeniowa, conradowska; zaznajomienie się ze spektaklem teatralnym o Witoldzie Pileckim, ocena postawy bohatera – postaci autentycznej, dyskusja o konkretnym w jego historii życia wymiarze ethosu rycersko-żołnierskiego

Tok lekcji:

1. Projekcja spektaklu „Śmierć rotmistrza Pileckiego” (z serwisu YouTube):

<http://www.youtube.com/watch?v=-2e1Oo6jii4>

2. Dyskusja o wyborach i moralnej postawie rotmistrza Pileckiego. Poszukiwanie źródeł siły wewnętrznej, heroicznej postawy, którą się wykazał. Jakie ma to znaczenie dziś? Dlaczego i dla kogo ważna jest pamięć o takich ludziach?
3. Spotkanie z wierszem Z. Herberta „Przesłanie Pana Cogito”(najpierw w wersji wizualno-słownej związanej intencjonalnie z obejrzanym spektaklem, następnie w czynnościach operacyjnych na tekście):

http://www.youtube.com/watch?v=HY-vp_YcnjY

4. Myślowa mapa wiersza – uczniowie rekonstruują świat wartości i moralnych imperatywów Pana Cogito, hasłowo zapisują swoje spostrzeżenia na karcie pracy. Credo życiowe bohatera wiersza odnosimy do uwiarygodniającej je biografii samego autora, żywego świadectwa faktów.
5. Zadanie domowe: Napisz rozprawkę na temat: Rycerskość dzisiaj- ethos frajerów czy bohaterów?

ARS BENE VIVENDI - SZTUKA DOBREGO ŻYCIA WEDŁUG PANA COGITO.



Opracowały: Renata Augustyniak, Renata Czaja, Hanna Czajkowska (LO)

